Z Kochi autobusem pojechaliśmy do portu Alappuzha, gdzie zaokrętowaliśmy się na dużego houseboata i zaczęło się… pławienie się w luksusie. Załoga przywitała nas intensywnie pachnącymi kwiatami i zaprosiła na górny pokład na lunch. Były ryby, michy sałatek, owoce na paterach i zimne napoje. Potem szwendaliśmy się po pokładzie i podziwialiśmy widoczki aż dopłynęliśmy do miejsca, w którym przesiedliśmy się na małe łódeczki i z wiosłami w rękach popłynęliśmy zobaczyć kanały Kerali z nieco innej perspektywy. Było błogo, spokojnie, od wody wiała lekka bryza, można było pochlapać się wodą i powąchać lilie wodne. Żyć nie umierać.

Po takim godzinnym dryfowaniu wróciliśmy na naszego hoyuseboata i ruszyliśmy dalej. Po jakimś czasie przemknęło mi przez myśl, że nie widziałam od jakiegoś czasu Kumara, ale założyłam, że może się położył i zbiera siły… tymczasem w kajucie też go nie było. Na szczęście Rysiu – opiekun zerknął na telefon i zobaczył kilka nieodebranych połączeń. Dzwonił Kumar, żeby go poinformować, że został na brzegu. Poszedł, jak to Kumar, na pola ryżowe porobić zdjęcia, zapomniał się a my w tym czasie odpłynęliśmy. Nie koniec jednak jego przygody. Nim zawróciliśmy i zabraliśmy gapę, on zdążył jeszcze wraz z tubylcem zabić grasującą w krzakach kobrę, z którą zrobił sobie niezłą sesję zdjęciową. Z martwą, czyli potraktowaną drągiem.

Na naszej łodzi spędziliśmy bajeczny dzień i noc, a następnego dnia trzeba było zarzucić plecaki na ramiona i wsiąść w pociąg do Kanyakumari. A było to 1 sierpnia. Punktualnie o godzinie 20.30, czyli o 17.00 czasu warszawskiego rozbrzmiał dźwięk naszej okrętowej syreny a z głośnika popłynął „Pałacyk Michla”. Wszyscy razem – Indusi i Polacy uczciliśmy pamięć bohaterów Powstania Warszawskiego.

Kanyakumari na przylądku Komoryn to szczególne miejsce na mapie Indii i świata. Kanyakumari to najdalej na południe położone miasto indyjskie. Portowe, szybko rozwijające się i przekształcające z miasteczka o niskiej zabudowie w molocha z liczącymi wiele pięter budynkami. A pojechaliśmy tam ze względów geograficznych ale też kulturowych. Promem podpłynęliśmy na kamienistą wyspę, by zobaczyć świątynię Bhagavathi Amman, w której panowie musieli obnażyć swoje torsy (wrrr) i zasłonić kolana sarongami, Vivekananda Rock Memorial i olbrzymi wystający nad ocean pomnik Thiruvalluar.

Upały zwalały nas z nóg, ale byliśmy przecież bardzo blisko równika. Trudno było zwiedzać świątynie chodząc boso po gorących od słońca kamiennych stopniach i posadzkach. A w dodatku tam na południu chyba rzadko bywają tak duże grupy „białych”, bo ciągle ktoś nas zatrzymywał i prosił o możliwość zrobienia sobie z nim zdjęcia. Z tymi zdjęciami to też tu w Indiach jest cała historia, bo pozujemy niczym hollywoodzkie gwiazdy. Trudno odmówić uśmiechniętym od ucha do ucha lokalsom, ale czasem jest to męczące, bo prosi o zdjęcie jeden, a kiedy słyszy OK, to zaraz wychodzi skądś cała wielka rodzina tegoż i zaczyna się… bo wypada się sfotografować ze wszystkimi i dla pewności z każdym z osobna. Niektórzy nie proszą o wspólne zdjęcie a po prostu przystawiają nam komórkę do twarzy i ciach. Inni z kolei stają do nas tyłem i niby robią sobie selfie, przy okazji uwieczniając kogoś z naszej grupy. Przekomicznie to wygląda… W Kanyakumari spędziliśmy urocze dwa dni. Bliskość oceanu, plaży, fal rozbijających się od brzegu poprawiały nastrój i przywracały siły do dalszej wędrówki. A przed nami był Maduraj.